

Lenczowski Piotr

Równoupośledzenie

Z „*Science Fiction*” nr 19 – październik 2002

- Nie będę was okłamywał. Nie! Gówno mnie obchodzi to, że „nigdy wcześniej nie spotkaliście się z czymś takim”. Zabierzcie to! Nikt nie będzie mnie sondował. Nie jestem głodny! To jak? Mam opowiadać? OK, OK. No więc świat w tym jednym... Od początku?? OK. Wszystko zaczęło się w prosty sposób. Przyjechałem na wakacje. Co? No, kurwa, urlop miałem. Jak chcecie mogę nie opowiadać. Pocałujcie mnie w...

Wychodzą, zostają sam. Przez chwilę oddycham nerwowo. Usiłuję uspokoić szalejące nerwy. Nie pomaga. Wreszcie wyszarpuję z kieszeni papierosa i zapalam go. Lekki, aromatyzowany tytoń szybko się kończy. Nie jestem ani odrobinę spokojniejszy. Staję przed oknem i patrzę na kwitnącą, rozsiewającą pyłki łąkę. Momentalnie zatyka mi zatoki. Jestem dzieckiem miasta. Stąd ta alergiczna przypadłość. Wszyscy moi znajomi z osiedla, na którym się wychowałem, w jakiś sposób zostali przez miasto okaleczeni. Najczęściej kichali i wycierali nos na wiosnę - katar sienny był niezwykle popularny. Inni mieli astmę oskrzelową lub alergiczne zapalenia skóry. Nieliczni - podkreślam - nieliczni (zawsze obracałem się w dobrym towarzystwie) - których oszczędziły alergię, stawali się narkomanami. Do tej pory zastanawiam się, jaką decyzję bym podjął, gdyby dano mi wybór - czy wolałbym uczulenie czy śmierć na odlocie. Zwykle takie rozważania uspokajają mnie. Tym razem jednak jest inaczej. Wspomnienia dzieciństwa i niedawno minionej „prawdziwej młodości” nie potrafią zatrzeć w moim umyśle wydarzeń ostatniego miesiąca. Czasem, kiedy człowiek myśli o czymś bardzo intensywnie, szczególnie w trudnych chwilach, wtedy te rozważania przyćmiewają sprawy aktualne. Teraz jednak nie potrafię myśleć o niczym innym.

Wspomnienia mojego prywatnego piekła, które tutaj przeszedłem, stają się coraz bardziej wyraziste. Zapewne wkrótce nie będę pamiętał już niczego innego.

* * *

Leżę sam. Pokój jest cichy. Usiłuję wrócić myślą do przeszłości. Śmieję się, gdy wspominam nasze (mówiąc „nasze”, myślę o mojej paczce, czyli o sobie, Świrze, Tomku i Agnieszce) czarne msze - to była niezdrowa i głupia fascynacja. Oni, ustawieni w równoramienny trójkąt, i ja, stojący w centrum pentagramu i recytujący:

„O wy, przyjemności, co mieszkacie w pierwszym powietrzu, jesteście potężne w częściach Ziemi i wykonujecie wyroki wszechwładnych”.

* * *

Nigdy wcześniej ani później nie robiłem niczego głupszego. Nie jestem w stanie jednak wspominać teraz własnych głupot. Ludzie z paczki zatarli się w mojej pamięci. Ciągłe widzę to przekłete dziecko, tego szatańskiego gówniarza. Smutne oczy, mongolskie, rozmyte rysy twarzy, trzęsące się, brudne ręce. Cały on. I żadnego słowa, tylko to jego „Mu!”, „Ce!”, „Ga!” - krótkie, wykrzykiwane w przypadkowym rytmie monosylaby - niewiele jak na dziesięciolatka. Kiedy w końcu powiedziałem im, że to jego wina, sprawiali wrażenie, jakby mi nie uwierzyli. Na pewno jednak pójdą przeszukać piwnicę, a jeśli tak, niedługo będę wolny. Sprzed moich drzwi zniknie uzbrojony strażnik, a ja ucieknę z tego wiejskiego ceglaka i wyjadę gdzieś daleko. Nad morze. Byle dalej od tego szczyła. Usypiam. Nie mam siły na wspominki. Jutro - jeśli wszystko pójdzie tak jak się spodziewam - będę potrzebował wszystkich sił.

* * *

Budzę się. „Kreskówkowy” sen - zupełnie nie związany z moją obecną sytuacją - ucieka spod powiek. Przed drzwiami dalej stoi strażnik. Jestem tym zaskoczony. Spodziewałem się, że kiedy się obudzę, agenci BORu czy CeBeeŚu, czy czegokolwiek innego, którzy mnie tu przetrzymują, będą bez wyjątku martwi. Czasami życie niemile nas zaskakuje. Przez chwilę wzrasta we mnie panika. A co, jeśli oni okażą się - podobnie jak ja - odporni na „urok” Cypriana. Lub jeszcze odporniejsi? Przecieram oczy i staram się odegnąć złe myśli. Złe? Dostałem tu dokładnego pomieszania wartości. Dziwne odgłosy wydobywające się

z mojego brzucha i ssanie w dołku przypominają mi. Wyciągam pierwszego papierosa. Wydmuchuję siny (*trupio siny!* - krzyczy coś w mojej głowie) dym. Siadam przy ścianie i wsłuchuję się w odgłosy domu.

Trzask starych mebli przerywa głos strażnika. Mówi do mnie.

- Podejdź do drzwi.

- Po co? - To pytanie wydaje mi się oczywiste. Facet zgrywa twardziela, ale nie przeżył tego co ja i, między nami mówiąc, ma główniane prawo do wydawania mi rozkazów.

- Podejdź, mówię. - W jego głosie słychać strach i zdenerwowanie, zmieszane w równych mniej więcej proporcjach.

Powoli wstaję i podchodzę. Nie zależy mi. Kto wie, może nawet dostanę śniadanie?

- Posłuchaj, muszę na chwilę odejść od drzwi. Zaminowałem je. Nie próbuj wychodzić.

Wiem, że kłamię. Łże w żywe oczy. Kiedy niby miałby pójść po materiały wybuchowe? Po prostu jest posrany, bo jego kolesie zabalowali w piwnicy w poszukiwaniu Cypriana, a teraz pewnie tam leżą i stygną.

- OK, nie ruszę się stąd - mówię i nie kłamię. Wolę, żeby on też zginął. Wtedy będę mógł się stąd wynieść.

Strażnik odchodzi. Siadam i usiłuję przypomnieć sobie wszystko, co wiem na temat Cypriana. Odświeżyć sobie jeszcze raz całą historię. Niedługo czeka mnie konfrontacja. Nie liczę na zwycięstwo - chcę tylko uciec. Najgorsze jest to, że ucieczka przed Cyprianem, to tak naprawdę ucieczka przed sobą.

* * *

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Cypriana, w ogóle nie zwróciłem na niego uwagi. Miał jakieś cztery lata. Ja wtedy wkraczałem w piękną osiemnastkę. Cyprian był jednym z wielu wiejskich dzieci, niemiłosiernie umorusanych i biegających po łąkach (jak biedronka - myślę i uśmiecham się sam do siebie). Wtedy czułem się dobrze. Nie wypijałem hektolitrow kawy i nie wypalałem paczki fajek dziennie. Już przez sześć lat, od kiedy trafiłem tu pierwszy raz z Karoliną, przyjeżdżam i spędzam urlop w tych okolicach. Rozbijam namiot za gospodarstwem Tryców, na wale przeciwpowodziowym. Przyzwyczałem się do tego miejsca. Zwykle spędzam tu tydzień z każdego urlopu, jaki uda mi się nieuczciwie uzyskać od pracodawcy.

Cyprian był ograniczony. W pewien sposób autystyczny. To od razu było jasne. Do siódmego roku życia nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Ale kontakt z ludźmi miał raczej prawidłowy. Przed nikim się nie ukrywał. Po prostu biegał po całej wsi i bawił się w pościgi i ucieczki ze swymi wymyślanymi przyjaciółmi. Rok temu, kiedy tu przyjechałem, pierwszy raz zwróciłem na niego uwagę. Miał dziewięć lat i zaczął nareszcie wydawać z siebie bardziej artykułowane dźwięki. Zwracał się osobowo do wielkiego, starego i, jak się domyślam, nie działającego spychacza, stojącego poniżej wału przeciwpowodziowego. Mówił do niego głównie pytajnikami. Potrafił przez kilka godzin stać i szeptać:

- Dlaczego?

Jeśli ktoś zbliżył się wtedy, czuł delikatne mrowienie pod czaszką. Zainteresowało mnie to. Mieszkańcy wsi zaczęli obchodzić go coraz szerszym łukiem. Żyjąca ze sfałszowanej renty tutejsza wróżka czy czarownica, która mieszkała kilka domów dalej, bredziła coś o „uroczych oczach”. Ta sama kobieta twierdziła, że ja jestem „czarny” i „zły”. Posunęła się nawet do sugestii, że choroba Cypriana jest moją winą.

Strażnik wraca! To niesamowite, ale wraca. Jest przerażony. Wydaje mi się, że mówi coś do krótkofalówki. „Kwiatkowana” szyba w drzwiach znacząco zniekształca obraz, ale słyszę jego głos i szum, regularnie dobywający się z radia. Nagle cisza. Strażnik otwiera drzwi. Celuje we mnie z karabinu.

- Stań pod ścianą. - Jego głos jest przepełniony strachem. Facet po prostu sra w gacie. Prawdopodobnie nie wszedł do piwnicy. Zająrzył jedynie, jak ja, przez otwarte drzwi. Zobaczył trupy. Spanikował. Nie dziwię mu się. Staję pod ścianą. Cyprian musi spać. Musi być zmęczony. Ciekawe, jak zginęli agenci z piwnicy. Dziki szum przerywa tok moich myśli.

- Tak, nie żyją - mówi mój strażnik. - W nocy słyszałem strzały, ale myślałem, że po prostu natknęli się na coś i próbują się tego pozbyć, [szum] Rany... OK, przyjeździecie. Musicie przyjechać. Mam tu źródło informacji.

- Kłamałeś - odzywam się.

- Jak to? - Zdziwienie strażnika jest szczere.

- Drzwi nie były zaminowane, wpadłeś tu jak pijany trzmiel, nie miałbyś czasu ich rozminować.

Kiedy on milczy, ja zanoszę się głośnym, niemal szaleńczym śmiechem.

* * *

Jak dotąd nie zadał mi żadnego pytania. Jest twardy. Czekamy już niemal od godziny. Cały czas ma mnie na celowniku. Facet nie spał przez całą noc, lecz pilnuje mnie. Nawet nie mrugnął. Pytam go, czy mogę zapalić.

- Poczęstuj mnie - odpowiada.

Wyjmuję z kieszeni pustawą już ramkę szlufów i daję mu jednego. Zapalam swojego i oddaję mu zapalniczkę. Nie zwraca mi jej.

- W razie czego - informuje mnie - nie masz dokąd uciekać. Cała wieś jest otoczona.

- Kiedy on stanie się silniejszy, nikt nigdzie nie ucieknie.

- Nie chcę o tym słyszeć, to nie moja sprawa.

- Uwierz mi - rewanżuję mu się - to jak najbardziej twoja sprawa. To sprawa wszystkich w tym pierdolonym kraju. A kto wie, czy nie jest to sprawa całego pierdolonego świata.

Pozwala mi mówić. Jest mu wszystko jedno. Czeka tylko, aż przyjadą „specjaliści” z agencji i załatwią sprawę. Problem polega jednak na tym, że trzech „specjalistów” leży w piwnicy, podobnie jak Tomek, Świr i Aga. Tej sytuacji żaden „specjalista” nie zaradzi. Co robi najlepiej nawet wyszkolony agent, gdy zorientuje się, że jego koledzy sobie nie poradzi? Gdy dotrze do niego, że wszystkie domy we wsi wypełnione są trupami. Że w każdej zagrodzie leży i rozkłada się coś, co kiedyś było człowiekiem? Nie wiem. Najważniejszym dla mnie pytaniem jest: Co „specjalista” robi z osobą, która jako jedyna przeżyła? Jak potraktuje kogoś kogo wyrzekł się Zewu. Przed śmiercią Tomek dobrze określił metodę działania Cypriana. Cyprian działa przez Zew - równie stary jak to, co doprowadziło do powstania człowieka. Kiedyś widziałem film „Odmienne stany świadomości” - w finałowej scenie główny bohater staje się pierwotnym wirem, bólem i strachem przed śmiercią. To podręcznikowa interpretacja, i ja sam tak tę scenę rozumiałem. Teraz dotarło do mnie, że tak naprawdę przyczyną życia jest pierwotny strach przed życiem. Cokolwiek wspólnego ze śmiercią ma to tylko w praktycznej realizacji Zewu.

* * *

Na plecach czuję zimną lufę karabinu. Chłodzi nawet przez flanelę, którą mam na sobie. Jest mi to obojętne. Schodzimy do przedpokoju. Wyraźnie słyszę swoje kroki na schodach. Po prawej ręce mam teraz otwarte drzwi piwnicy. Tam ukrył się Cyprian. Serce zaczyna bić mi szybciej. Wychodzimy.

Jakieś czterdzieści metrów od nas stoi półciężarówka. Jeszcze dalej bus. Przy półciężarówce stoi agent w jednostajnie szarym garniturze. W ręku trzyma pistolet.

- Teraz spokojnie... - mówi do mnie strażnik, lecz ja cały czas próbuję zorientować się w sytuacji.

Rozglądam się na wszystkie strony. Moje obserwacje przerywa gwałtowny, ogłuszający huk eksplozji.

Krew i szara substancja, które jeszcze do niedawna były integralną częścią strażnika opryskują mnie.

Oszołomiony i przerażony odwracam się i widzę Cypriana. Niemal białe włosy i jasnoniebieskie oczy. Jest zszokowany, zupełnie jak ja. Słyszę kolejny huk, dobiegający tym razem z pewnej odległości. Znowu odwracam się i przed moimi oczami rozpościera się nietypowa scena. Widzę szarego agenta, który odstrzelił sobie pół twarzy i teraz wykonuje ostateczny taniec. Przy drugim obrocie pada na ziemię. Czuję ból pod czaszką. Dziwny szmer i więcej nic. To moja jedyna reakcja na Zew. Po chwili coś jeszcze - ukłucie w okolicy kręgosłupa. Wykonuję kolejny półobrót i widzę Cypriana, leżącego na ziemi. Potem wszystko zalewa czerń. Kątem oka spostrzegam jedynie spychacz znajdujący się poniżej wału. Jest czerwony, po chwili granatowy, i jako ostatni znika w nicości wraz ze mną.

* * *

Siedzę przy stole. Pokój jest pusty. Mój żołądek skręca się w niemym błaganiu o papierosa. Światło jest jasne. Klasycznie - służy do rozjaśniania myśli. Tyle, że ja mówię im całą prawdę. Niczego nie próbuję ukryć. No - prawie niczego. Do pokoju wchodzi Karol. Poznaliśmy się już. Jest specem od przesłuchań. Odwiedził mnie rano tylko po to, żeby to powiedzieć. Teraz przychodzi, żeby mnie wypytać. Przynosi mi paczkę papierosów. Łaskawca. Spokojnie wydaję jednego. Zapalam. Przed moimi oczami pojawiają się mroczki. Wszystko czernieje, jak wtedy, gdy dostałem nabojem usypiającym w kark. Ale to tylko efekt kurczenia się naczyń włoskowatych w mózgu. Ciemność mija błyskawicznie.

- Powiedz mi, jakie umiejętności miał ten chłopiec?

- Miał? Co mu zrobiliście?

- Nie wiemy, otrzymał zmniejszoną dawkę środka nasennego i zareagował prawidłowo.

- Więc dlaczego mówisz o nim w przeszłym dokonanym?

- To ja tu jestem od zadawania pytań. - Facet jest twardy, zastanawiam się, ile mogę mu powiedzieć.

- Potrafił, czy raczej sprawiał, że ludzie zabijali się.

- Tak po prostu?
- Nie wiem nic więcej. To co widziałem wystarczy mi w zupełności.
- Chłopak nie żyje...
- Zabiliście go?
- Nie, po prostu nie wybudził się z uśpienia. Nie wiemy, czym była podyktowana taka reakcja organizmu.
- Co zrobicie ze mną?
- Chyba nic, rozważano różne możliwości...

Chcę zadać mu pytanie, ale wychodzi z pokoju. Przez resztę nocy myślę. Wnioski zachowuję tylko dla siebie.

* * *

Nie wiem, która jest godzina. Do mojej celi wchodzi dwóch agentów. Przeprowadzają mnie przez budynek i wsadzają do auta. Podczas jazdy pytam ich, co się ze mną stanie.

- Niestety, zostałeś napadnięty przez grupę skinów. Wszystko w jednej chwili staje się dla mnie oczywiste.

Agencja musi mnie zabić, jeśli chce wszystko utrzymać w tajemnicy. Nie mam żadnych realnych szans na przeżycie, choć do zlikwidowania mnie wyznaczyli parę dobrych agentów, bo nie wiedzą, jak udało mi się przetrwać to tam, na wsi. Zatrzymujemy się nad rzeką i schodzimy pod most. Ja przodem, oni, wpatrując się we mnie oczami pistoletów, za mną. Gdy jesteśmy już przy brzegu, odwracam się do nich.

- Jakies ostatnie życzenie? - Ciekawe, jak często zadawał już to pytanie.
- Tylko ostatnie słowo - odpowiadam.
- Czekamy.
- Pierdol się.

Mój brzuch staje się ciepłym i głośnym miejscem. Każda komórka prosi o litość. Pocisk pełnopłaszczowy rozrywa moje tkanki i opuszcza moje ciało. Wpadam do wody. Już bez świadomości.

* * *

Oczywiście, przeżyłem. Moim przeznaczeniem nie była śmierć. W końcu Zew wyrzekł się mnie ostatecznie. Nie chciałem takiej ofiary. Ciężko ranny wydostałem się z rzeki i odchorowawszy swoje oraz zmieniwszy ubranie, ruszyłem w jedyne miejsce, gdzie mogłem odnaleźć odpowiedź i zdobyć dla siebie rekompensatę. Szedłem długo. Żyłem jak żebrak, lecz nie kradłem. Nie chciałem, aby mnie złapano. Teraz zaś, kiedy jestem u celu wiem, że mój trud się opłaci. Witaj, ukochany. Witaj, spychaczu, stojący wraz ze mną poniżej przeciwpowodziowego wału. Kto wie, może kiedyś i dla mnie rozbłyśniesz czerwonym światłem?

Piotr Lenczowski